

Agnieszka Dul

Walka o narodziny i wytrwałość nadziei : świadectwo osobiste w refleksji wokół lektury

Rocznik Naukowy Kujawsko-Pomorskiej Szkoły Wyższej w Bydgoszczy.
Transdyscyplinarne Studia o Kulturze (i) Edukacji nr 10, 43-66

2015

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Agnieszka Dul

AKADEMIA POMORSKA W SŁUPSKU

WALKA O NARODZINY I WYTRWAŁOŚĆ NADZIEI (ŚWIADECTWO OSOBISTE W REFLEKSJI WOKÓŁ LEKTURY)

WPROWADZENIE

Współczesny człowiek bardzo często egzystuje w poczuciu beznadziei, bezsensu istnienia, w poczuciu przeogromnej pustki egzystencjalnej, która w skrajnych przypadkach prowadzi do „duchowej śmierci” człowieka. Jest to problem niemalże cywilizacyjny. Co zrobić, by współczesny człowiek odnalazł w sobie sens życia i niegasnące nigdy poczucie nadziei? Stawiam tutaj to oto pytanie w poczuciu wielkiego „wyzwania intelektualnego”, które podejmuję. Odpowiem na nie opierając się na własnym doświadczeniu „budowy” od zera poczucia nadziei i sensu istnienia oraz wobec konieczności nieustannej walki o nią. Doskonale bowiem wiem, jak „smakuje” totalne odrzucenie (rodzinne, społeczne i religijne) jednostki ludzkiej. Tych odczuć nie da się wykasować z twardego dysku własnej ludzkiej pamięci. Najbardziej boli odrzucenie i porzucenie uczynione przez najbliższe jednostce osoby – odrzucenie rodzinne. W takim przypadku dochodzi do niemalże całkowitej utraty wiary w siebie, czasem bezpowrotnie znika sens istnienia oraz definitywnie odchodzi poczucie nadziei, wszelkiej nadziei. Bo kiedy nie ma sensu istnienia i poczucia nadziei, nie ma też energii do życia... a w takiej sytuacji przyszło mi egzystować... i w takiej sytuacji „z popiołu” narodziła się we mnie najwyższa z możliwych nadziei – nadzieja transcendentna.

Nadzieja jest jednym z najbardziej istotnych elementów niezbędnym do prawidłowego procesu rozwoju wszystkich aspektów egzystencjalnych jednostki ludzkiej. Jest to fakt bezsporny. I bezprecedensowy. Nadzieja kieruje jednostkę ludzką do nieustannego działania, ku przyszłości, ku nowemu. Jest trudna do zinterpretowania, ale jest „siłą wewnętrzną” człowieka.

W potocznym obiegu słyszymy różne sformułowania dotyczące nadziei. Zacytuję tutaj niektóre z nich: „nadzieja umiera ostatnia”, „miejmy nadzieję”, „nadzieja matką głupich”, itp. Te obiegowe sformułowania dotyczące nadziei przybierają postać różnych znaczeń i określeń, kiedy chcemy coś przez to wy-

razić czy wskazać. To pokazuje, że słowo „nadzieja” nie jest pozbawione swojego szczególnego znaczenia w obiegowym i potocznym znaczeniu.

Jednak jakże trudno jest zbudować owo tak upragnione przez człowieka poczucie nadziei. Współczesny mi świat wystawił mnie na trud walki o nadzieję, a w nim przecież niejedna istota ludzka zakotwiczyła się w poczuciu braku nadziei i braku sensu własnego istnienia. Ten do szpiku kości zmaterializowany, burzliwy, nieprzewidywalny i coraz bardziej pozbawiony wartości i autorytetu świat nie dostrzega wagi nadziei, czy może w ogóle jej nie buduje, nad nią nie pracuje. To powoduje w wielu jednostkach narastanie poczucia pustki, egzystencjalnej beznadziei, rozpacz, rezygnacji samobójczej. Skutkuje więc upadkiem na samo dno ludzkiej duchowości, która jest niezbędną do zbudowania od początku i jakby ciągle od nowa w sobie poczucia nadziei ku nowemu, ku działaniu, ku celowi, ku przyszłości. Jestem jedną z osób, które ten problem spotykają co dnia, od lat i już pewnie dożgonnie. Dlatego to takie ważne dla mnie. Próbowałam już kiedyś zrobić pierwszy krótki zapis moich odczuć i przemyśleń¹. Teraz podejmuję to głębiej.

* * *

Do zmierzenia się z wyzwaniem jakże interesującego mnie zagadnienia nadziei w ludzkim wymiarze istnienia skłoniła mnie zaskakująco ważna dla mnie lektura książki autorstwa włoskiego psychologa specjalnego Roberta Zavallonego pod znamienym tytułem „Psychologia nadziei. Aby poczuć się zrealizowanym” wydana przez Wydawnictwo „Jedność” (Kielce 1999, przekład Marzeny Radomskiej)². Lektura tej publikacji, rekomendowanej przez miesięcznik psychologiczny „Charaktery”, powstałej oryginalnie już ponad 25 lat temu a dostępnej u nas już lat 15, choć odnalezionej przeze mnie dopiero niedawno, „wyzwoliła” we mnie przeogromną chęć zmierzenia się z nią na

¹ Tytuł „*Nadzieja*” miał jeden z moich felietonów w gazecie „Moje Miasto” 2009, nr 126.

² W dalszym ciągu wszelkie odniesienia w tekście artykułu odsyłające do stron dotyczą tej właśnie pozycji. Zasadą mojego postępowania jest podejmowanie próby komentarza i refleksji wokół uderzających mnie miejsc w tekście książki Zavallonego. Jest to więc próba mojego dialogu wokół nadziei z impulsami zmuszającymi mnie czasem do dużego wysiłku i bolesnych wyznań. Skupiłam się na 15 wybranych cytatach z książki, które mnie szczególnie zainspirowały do skonfrontowania ich z moim osobistym doświadczeniem osoby niepełnosprawnej fizycznie w stopniu znacznym, a mającej zarazem bogate życie wewnętrzne, duchowe.

serio, zwłaszcza w konfrontacji z fragmentarycznymi spostrzeżeniami innych myślicieli i naukowców, które Autor tej książki przytacza i omawia, z zderzeniem z moimi własnymi rozważaniami, refleksjami wyciągniętymi z własnych, niezwykle „życiowo bogatych” doświadczeń.

Jak zawsze, przy każdej próbie pisarskiej, pracując nad tekstem o nadziei miałam ogromne dylematy i rozterki, wręcz stany kryzysu duchowego. Moje osobiste doświadczenia są specyficzne, nie pasują do ogólnie przyjętych schematów i reguł. Myślę nawet, że są „unikatowe” i „niezwykłe”. Jak *ja sama*. Własne przemyślenia i bardzo osobiste czy wręcz intymne wnioski są w tym niewielkim tekście dla mnie samej niezwykle odkrywczym, czasem zaskakującym nawet mnie samą jako bardzo szczere i autentyczne. Autentyczność ta kilkakrotnie mnie samą „przeraża”, gdy formułuję swoje myśli, jednak jest mi ona potrzebna, by wyciągnąć najbardziej nawet trudne i bolesne elementy po to, by poznać do samego końca mój powstający w tym trybie portret nadziei.

Trzeba bowiem w każdym przypadku bolesnej wiwisekcji zdobywać się na próbę niezwyklego testowania własnego hartu ducha oraz ryzykowania potrzeby wielkiej odwagi by wejść w siebie, własne myśli najgłębiej, jak tylko potrafi człowiek, by być w stanie ujawnić to światu. Własną „prawdę” o nadziei. Nadziei zrodzonej z zupełnej beznadziei. Niepewna jakości tego wyznania zapraszam do fascynującej dla mnie samej podróży ku nadziei. Może komuś pomoże?

ROZMOWA POPRZEZ KSIĄŻKĘ ZE SOBĄ

„Nadzieja jest tajną siłą, która jest niepokojem serca, prowadzącym do rzeczy wielkich, do „przyszłości, która otwiera drogę pełnego ufności, długiego oczekiwania” (s. 9–10). Nadzieja dla mnie jest swego rodzaju oczekiwaniem na niemożliwe. Owo niemożliwe jest istotne w sferze wyobrażenia, pragnienia, chęci. I tu stawiam pytanie zasadnicze: Czy owe wyobrażenie, czasem wręcz marzenie jest możliwe do urzeczywistnienia? Dzięki istnieniu nadziei myślę, że tak bywa, gdy nie rezygnujemy z naszego prawa do upominania się o nią. I tu wkracza owa nieznana siła, która wyzwala we mnie ogromne pokłady czegoś na kształt wolności. Wolności szeroko pojmowanej, która prowadzi mnie ku szczęściu, choćby w chwilach ulotnych, ale na szczęście powracających pod wpływem wysiłku niepoddawania się. I to pomimo wielkiego poczucia nieufności odczuwanej do świata i ludzi. Jednak zaczynam odkrywać, że to nadzieja ostatecznie jest sensem bytu dla mnie, bo tylko ona stawia mnie na niewidzialnej granicy, która wiedzie ku nowemu, ku przyszłości, ku szansom,

ku ciągłemu rozwojowi. To jest piękne, kiedy z tej wyczekiwanej nadziei, zaklinanej czasem wątlą wolą walki o nią, powstaje nowa jakość mojego istnienia, być może niedoskonała, ale zawierająca to „coś”, czego nie można niczym łatwym nazwać ani wyrazić, czego nic nie gwarantuje, ani nie może obiecać, a co przyciąga rzeczy, zdarzenia, a nawet samych ludzi. Przyciąga dobro, które jest tak potrzebne wszystkim, zwłaszcza w mojej sytuacji.

„Nadzieję kojarzy się często z wyzwoleniem” (s. 10). Wyzwolenie to uwolnienie czegoś we mnie i uwolnienie mnie od czegoś. Posiadane przeze mnie ograniczenie w postaci fizycznej jest źródłem od lat już doświadczania traumy, cierpienia, ograniczenia. Powoduje odczuwanie – rodzące czasem bunt, a czasem rezygnację – niesprawiedliwości dziejowej, która ze mnie strasznie sobie zadrwiła od samych moich narodzin. Jednak paradoksalnie moje ograniczenia funkcjonalne w kondycji fizycznej spowodowały pragnienie walki o wyzwolenie się duchowości i jego doświadczanie. Mój wewnętrzny świat jest „bogaty”, niezwykle różnorodny i bardzo ciekawy. Owa ciekawość mojego wewnętrznego świata dla mnie samej jest czymś ciągle niezwykłym i fascynującym. Fascynacja ta jest czymś na kształt nadziei, nadziei, która nie pozwala zapomnieć o tym, żeby próbować realizować śmiałe pomysły i projekty, by mieć marzenia, by walczyć nieustannie o siebie i nie poddawać się bez owej walki. Wyzwolona duchowość pozwala mi na przebywanie w innej sferze odczuwania i bycia, gdzie moje ograniczenia nie rządzą. Wewnętrzna wrażliwość pozwala dostrzec w świecie i ludziach ukryte i fascynujące piękno, nie tylko zewnętrzne, ale przede wszystkim wewnętrzne. To wszystko bardzo mnie ubogaca, pozwala na nieograniczone przebywanie w transcendentnym wymiarze mojego własnego świata. Świata całkowicie wolnego pod jakichkolwiek ograniczeń w przeciwieństwie do ograniczoności własnego fizycznego świata, w którym istnieję.

Wyzwolenie duchowe to swego rodzaju wymiana myśli, refleksji, spostrzeżeń w spotkaniu z samą sobą. Wymiana niekiedy trudna, bo nie wszyscy są wobec niej cierpliwi i otwarci, czy ją rozumieją i uważają za konstruktywną. Wyzwolenie dla mnie stało się głównym celem egzystencjalnym, niełatwym do zrealizowania. Lecz kiedy ono nastąpiło, pozwoliło mi na uzyskanie zmiany myślenia o sobie i o świecie, w którym przyszło mi istnieć i nieustannie o to istnienie walczyć. Uzyskanie owej zmiany jest procesem trudnym i długim w realizacji. Myślę, że najtrudniejszym. Ta właśnie zmiana prowadzi człowieka ku duchowemu wyzwoleniu, prowadzi do nowej jakości egzystencjalnej, prowadzi tam, gdzie jeszcze nigdy nie byliśmy, prowadzi nas ku wewnętrznej transcendencji odczuwania i odbierania otaczającej nas rzeczywistości, pro-

wadzi ku nadziei jako siły, która stoi na straży ludzkiej przyszłości i człowieczeństwa w każdym przypadku. W końcowym etapie wyzwolenie duchowe doprowadza do „ponownego narodzenia” człowieka, który go doświadcza.

Roberto Zavalloni przypomina, że według Ericha Fromma „Nadzieja jest ciągłą gotowością na to, co się rodzi, na to, czego jeszcze nie ma” (s. 13). Taka „definicja” nadziei jest dla mnie niezwykle optymistyczna. Ciągła gotowość to nic innego, jak nieustanne pragnienie działania, a w dalszej perspektywie współdziałania dla siebie i dla ogółu. Wytworzenie nowej, lepszej rzeczywistości istnienia jest niebagatelną sztuką, która warta jest nieraz nadludzkiego wysiłku, by mogła zostać zrealizowana. Powołanie czegoś, czego jeszcze nie było, bywa niejednokrotnie okupione niemal katorżniczą pracą i ogromnym zaangażowaniem. Jednak kiedy po wszystkim spojrzymy na efekt naszych starań to zauważymy, iż nowość, która właśnie powstała nawet z beznadziei, jest czymś innym, jest pięknem i bogactwem, które przemienia nas wewnętrznie i duchowo. Jest nadzieją spełnioną i pozwalającą na spełnienie.

„Na poziomie psychologii nadzieja jest oczekiwaniem na wymarzony wynik lub reakcją na niekorzystny wynik wydarzenia mającego nastąpić w przeszłości” (s. 17). Czym dla mnie jest oczekiwanie? Nie potrafię precyzyjnie określić własnej definicji tego słowa. Myślę jednak, że owo oczekiwanie jest właściwym sobie tylko sensem, który pozwala na to, by na nowo odkrywać w sobie chęci, pragnienia, dążenia i siłę dla ich podejmowania. Te wyczekiwanie na pozytywny wynik naszych starań jest czasem najtrudniejszym, bo nigdy nieokreślonym do samego końca. Stwarza to narastanie poczucia niespełnienia, rezygnacji, wątpienia. Jednak te skrajne negatywne odczucia paradoksalnie mogą wpłynąć także mobilizująco i niezwykle konstruktywnie na to, by zawałczyć o siebie, by udowodnić wszystkim, ale przede wszystkim sobie (choć to właśnie jest najtrudniejsze), że zasługuję na to, by być wolnym, szczęśliwym, spełnionym człowiekiem. Udowodnienie wszystkim, kim tak naprawdę się jest, jest bardzo trudnym procesem w przypadku, kiedy ma się „wystawioną” przez niekiedy bliskich ludzi etykietkę przegranego, wręcz gorszego. Nadzieja na to, iż ulegnie to zmianie jest tym owym oczekiwaniem tak bardzo oczekiwanym, ale najtrudniejszym dla siebie samej. Bo najtrudniej w nim wytrwać.

Według psychologii humanistycznej i koncepcji człowieka i sensu Viktora Frankla „cnota nadziei jawi się jako kwiat, który ma swe korzenie w *humus* psychiki ludzkiej, w której Bóg posiadał pragnienie Nieskończoności” (s. 19). Przechodząc do analizy tego fragmentu tekstu mam nieodpartą chęć zmierzenia się z jego treścią. Wszystko, co istnieje, wszystkie byty muszą wejść w „coś”

z czego czerpać będą „życiodajne soki” tak bardzo potrzebne, by rozwinąć się nie tylko w sensie zmaterializowanym, ale przede wszystkim duchowym. Dlatego tak bardzo potrzebna jest nadzieja, by ludzka duchowość mogła „rozkwitnąć” niczym piękny kwiat ludzkiej egzystencji. Niekwestionowanym fenomenem w tym procesie jest dla wielu (w tym i dla mnie) „osoba” Boga Stwórcy, który to jest tym, co sprawia, że „jesteśmy, działamy i żyjemy”. To Bóg, który dla człowieka jawi się sam jako nadzieja, natchnął duszę swym blaskiem istnienia w momencie przyjscia na ten ziemski padół istnienia zakorzeniając materialne ciało tu na ziemi. Staje się to i być może i jeszcze wcześniej, bo w momencie poczęcia bytu. Stwórca obdarzając byt duszą wraz z tylko nam przypisaną duchowością powołuje do wiecznej nieskończoności istnienia. Ziemską śmierć unicestwia tylko zmaterializowane ciało, lecz nie unicestwia ludzkiej duszy. Pragnienie nieskończoności trwania mnie, kiedy już „odejdę” materialnie, fizycznie, jest swego rodzaju nadzieją na to, iż „nie wszystek umrę”, a moja własna duchowość przetrwa ze mnie i jakoś ciągle jeszcze we mnie. Jest to fundamentalne *credo* chrześcijańskiej wizji ludzkiej egzystencji, które niezmiennie popycha mnie do tego, by mieć nadzieję istnienia i nie zatracić siebie w materializmie, a nieustannie dążyć do tego, „co w niebie”, ponadczasowe, a nie do tego, co „na ziemi” doraźne i chwilowe. Rozwój własnej duchowości jest czymś nieokreślonym, a zarazem pięknym doświadczeniem, które mnie wewnętrznie ubogaciło i pozwoliło na odnalezienie nadziei.

Paul Poupard mówi, czytamy, że „nadzieja jest cnotą naszych czasów, ponieważ jest ona cnotą czasów tragicznych: chora nadzieja ludzka daje się uleczyć tylko rękami pełnymi miłości i nadziei” (s. 21). W tych słowach jakże dobitnie można zauważyć kwintesencję refleksji, którą postaram się tu rozwinąć we własnej próbie namysłu nad tym fragmentem tekstu. Na początek musimy postawić pytanie: Czy i jak istniejemy w czasach tragicznych? Jest to pytanie, które stawiam i sama stwierdzam, iż współczesny mi człowiek istnieje wielowymiarowo w tragizmie egzystencjalnym. Ów tragizm współczesnego człowieka wyraża się coraz bardziej wszechobecnym zagrożeniem terroryzmem, nieprzewidywalnym i niosącym ryzyko nieoczekiwanej śmierci. Jednak najpoważniejszym tragizmem egzystencjalnym współczesnego człowieka jest zderzenie się z sytuacjami skazującymi na długotrwałe doświadczenie poczucia bezsensu własnego istnienia. Brak sensu istnienia, moim zdaniem, jest brakiem posiadania w sobie poczucia nadziei na to, iż nasze istnienie ma w ogóle jakiś sens, niekiedy ukryty przed nami sens wpisany w to, co nazywamy życiem.

Okaleczona ludzka nadzieja tkwiąca w poczuciu bezsensu istnienia może ulec „uzdrowieniu i wyzdrowieniu” dzięki darowi wszystko zmieniającej miłości. Nie jest to tylko wydumany i przereklamowany slogan, lecz podparty własnym doświadczeniem i własnymi przeżyciami wniosek, który postaram się tu opisać. Gdyby nie miłość nie istniałabym wcale. To uczucie miłości mojej nieżyjącej już Mamy tuż po narodzeniu wyrwało mnie ze szponów śmierci, która stała czyhając tuż za progiem istnienia, by mnie zabrać stąd daleko poza wymiar ziemskiego doświadczenia, choćby i piekielnie trudnego. Dzięki miłości zostałam... choć skazana na wielki trud istnienia każdego dnia i dla owej miłości podejmowałam ogromny wysiłek, by stać się jak najpełniej człowiekiem we wszystkich obszarach egzystencjalnych; fizycznym, psychicznym i emocjonalnym. Dzięki miłości możliwy stał się mój powrót ku nadziei, bo bezspornie tkwiłam w egzystencjalnej beznadziei własnego świata, świata tak znacznie ograniczonego fizycznie. To dzięki miłości możliwy był mój egzystencjalny rozwój, krok po kroku, na przekór rezygnacji i niemocy. I odnalezienie nadziei na to, iż moja osoba jest tu komuś potrzebna i do czegoś pożyteczna i ma sens w sobie, którego nie wolno przekreślić nikomu, w tym i mi samej. To dawało mi stopniowo rozwijane i pielęgnowane poczucie stabilizacji, a owa stabilizacja niezwykle korzystnie wpływała na wszystkie aspekty mojej egzystencji.

A kiedy moja miłość istnienia w osobie Mamy fizycznie umarła to jakby umarła wraz z nią część mojej duszy, serca, uczuć oraz nadzieja. Nastąpił dla mnie najpierw straszny czas beznadziei, czas, w którym nie istniała żadna miłość, która wyrwałaby mnie z tej niezwykle strasznej otchłani bezsensu i beznadziei istnienia. Mój nowy świat bez miłości, w którym przyszło mi odtąd istnieć samodzielnie był wewnątrznie rozdarty pomiędzy tym, co tu zostało, czyli emocjonalną pustką i samotnością, a tym, co bardzo powoli się odradzało we mnie – uwolnieniem myśli i uwolnieniem intelektualnym do walki o siebie. W pewnym momencie dochodzi do tego, iż nie chcę i nie potrafię istnieć w świecie bez miłości, sensu czy nadziei, która też bezpowrotnie i bezspornie umarła wraz ze śmiercią miłości mojej Mamy. Dochodziło jednak i do tego, i to jest niezwykle trudne do zrozumienia, iż w tym pustym i beznadziejnym świecie pozbawionym miłości i gdzie swoje panowanie zdominowała egzystencjalna pustka i beznadzieja, zaczynałam wręcz modlić się o śmierć. Zdaję sobie sprawę, iż napisane powyżej zdanie będzie szokowało swą treścią. Jednak jest ono kluczowe, by w dalszych spisywanych moich refleksjach dało się zrozumieć to, co będzie tu opisywane przeze mnie. Jest to trudne do racjonalnego zobrazowania a kluczowe dla kwestii nadziei.

Bo jak odnaleźć w sobie owe pokłady nadziei na to, by istnieć o własnych siłach w świecie pozbawionym miłości? Te pytanie jest nie tylko pytaniem retorycznym. W pewnym momencie nie wytrzymuję tego wszystkiego: przytłacza brak sensu istnienia w ludzkim wymiarze egzystencjalnym i istnienie w świecie psychicznego terroru, gdzie nikt nawet nie ma odwagi uwierzyć w to, co się dzieje, gdzie jestem zupełnie sama emocjonalnie, a nadzieja też już zupełnie nie istnieje; stan ten nie pozwala dostrzec niczego, poza otchłanią rozpacz i beznadziei. Dochodzi do dramatu egzystencjalnego... i po tym wszystkim pojawia się maleńki cień miłości, który delikatnym płomieniem rozgrzewa zlodowaciałe i umarłe już niemal serce oraz roztrzaskaną w najdrobniejszy maczek duszę, która tak naprawdę rezygnacją krzyczała o pomoc w tym ludzkim wymiarze bytu. Z jednej strony chciałam już definitywnie odejść, czy też zniknąć definitywnie z ziemskiego świata, by dalej nie cierpieć i nie doznawać tych wszystkich bardzo mnie raniących upokorzeń, przykrości, mojego ułomnego fizycznie a przecież ludzkiego człowieczeństwa. By nie być tu bez miłości, bez nadziei, bez szczęścia, bez niczego, na czym by mi zależało, w pustce egzystencjalnej. Z drugiej jednak strony drzemała we mnie jeszcze o dziwo, tliła się ciągle w moim wnętrzu przeogromna potrzeba pokazania innym i całemu światu, ale przede wszystkim sobie samej, że jestem w stanie sama o sobie decydować, że jestem w stanie samodzielnie, na miarę posiadanych możliwości organicznych, funkcjonować w każdej sferze egzystencjalnej. Że nie jestem mniej warta od innych. Ale musiałam nauczyć się także kochać siebie taką, jaką przyszło mi być. Bez tego maleńkiego cienia zdolności miłości, który trwał przy mnie w tych dramatycznych momentach mojego istnienia, niemożliwe byłoby moje powstanie z popiołów egzystencjalnej beznadziei. To dzięki tej miłości w jej ludzkim wymiarze bycia, możliwe było to, bym na powrót odzyskała sens egzystencjalnego bycia, bym od początku lecz bardziej wewnętrznie i głębiej duchowo, zaczęła na przekór wszystkiemu kochać ziemski świat i – co chyba najbardziej istotne – bym „ponownie się narodziła” dla świata i ludzi. I by powróciła zaginiona przeze mnie i we mnie nadzieja. Ona wróciła do mnie, jako nowa nadzieja. Dzięki temu cieniowi maleńkiej miłości, którą nauczyłam się żywić, więc i karmić codziennymi okruciami. Dzięki miłości istnieję i dzięki miłości jestem wolnym człowiekiem we wszystkich aspektach egzystencjalnych. Wiara, miłość i nadzieja są obecnie ze mną i są we mnie. Mam nadzieję, że pozostaną już na zawsze.

W PERSPEKTYWIE CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

„W koncepcji chrześcijańskiej chodzi o zniesienie wizerunku nadziei zbyt wyraźnie indywidualistycznej, w którym zwraca się ona jednostronnie i zupełnie w stronę światów pozaziemskich, i o postrzeganie jej raczej jako „podwaliny” chrześcijaństwa. Być chrześcijaninem znaczy zatem mieć nadzieję, znaczy wejść w sferę prawdziwej nadziei” (s. 22). Tym razem zastanowię się, w tym kontekście, czym jest prawdziwa nadzieja. Czy w ogóle istnieje prawdziwa nadzieja? Czy istnieje prawda? Funkcjonuje kilka definicji prawdy, lecz tu nie będę ich przytaczać. Postaram się napisać czym dla mnie jest prawda i z czym mi się prawda w mojej walce o nadzieję kojarzy. Według mnie prawda, to coś, co dzieje się bądź wydarzyło się rzeczywiście, co mogę dostrzec wszystkimi zmysłami, jakie posiadam i co dzieje się realnie. Widząc, słysząc dotykając kreujemy rzeczywistość, a potem kodujemy w pamięci. Dzięki możliwości analizy zachodzących w mózgu jesteśmy w stanie dokonać wnioskowania i w pośredni sposób dojść do prawdy. Zatem prawda to nic innego, jak „tu i teraz”, co widzimy i doświadczamy oraz odczuwamy sobą. Jesteśmy świadkami naocznymi owej prawdy. Prawda kojarzy mi się z moralnością, etyką, sumieniem, z przeciwieństwem kłamstwa, fałszu, obłudy, pozorów. Jednak przede wszystkim z czystością wewnętrzną sumienia. Zdaję sobie sprawę, że zawsze istnieć będzie tyle prawd, ilu jest ludzi, że każdy inaczej będzie swoją rzeczywistość interpretować. Bo jest to prawda ich istnienia.

Wracając zatem do zacytowanego fragmentu – nadzieja chrześcijańska jest ukierunkowana nie na przyszłość człowieka tu na ziemi, bo ludzki ziemski los jest czasowo ograniczony, a raczej jest on skierowany ku niebu, wieczności i nieskończoności, transcendencji. Powoduje to zanik indywidualizmu nadziei, los i przyszłość człowieka nie zależy od niego samego, ale od „czegoś” potężniejszego, większego i silniejszego od człowieka – zależy od Boga, Absolutu. Prawdziwa nadzieja staje się tu czymś na kształt idealności i doskonałości, do której podąża człowiek. Jest tym „lepszy świat”, świat pozbawiony okropieństw, kłamstw, zabijania itp. Sfera chrześcijańskiej prawdziwej nadziei to nic innego jak ludzka duchowość – tu na ziemi czasem niedostrzegana i pomniejszana, lecz niezwykle istotna w tym „lepszem świecie”, do którego kiedyś dojdziemy, gdy fizycznie umrze nasze ciało. Dlatego chrześcijańska prawdziwa nadzieja jest nadzieją ku wiecznej przyszłości w jej duchowym i transcendentnym wymiarze czasowo-przestrzennym. W tym wymiarze wszystko to,

co zdaje być się dla nas niemożliwe, staje się możliwe. A prawda staje się centralnym wyznacznikiem tego, co dane było nam zdziałać i uczynić w stosunku do innych i siebie.

Nadzieja chrześcijańska to także odniesienie się do wymiaru ziemskiej nadziei. Jej wymiar jest inny, bo wyznacza człowiekowi ziemskie dążenia, pragnienia. Wyznacza cele egzystencjalne: zdobycie upragnionego wykształcenia, zdobycie rzeczy materialnej, na której nam bardzo zależy. I w tym aspekcie wymiar posiadania poczucia nadziei na zrealizowanie się czegoś, czego chcemy czy pragniemy w wymiarze egzystencjalnym jest najbardziej istotnym wyznacznikiem tego, co nazywamy spełnieniem czy realizacją marzenia i pragnienia.

Posiadanie poczucia nadziei w jakimkolwiek jej wymiarze nie jest tylko przypisane dla osób wierzących, jak to w tym przypadku jest omawiane w wierze chrześcijańskiej. Poczucie nadziei także odnosi się w stosunku do osób niewierzących. Myślę, że w przypadku tychże osób nadzieja jest tą jedyną siłą motywującą do działania i do pokonywania wszelkich trudności dnia codziennego. Brak zakotwiczenia w wierze w Boga nie daje im punktu odniesienia do tego, iż jest możliwe wyjście czasem z beznadziejnie trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się jednostka ludzka. I tu wkracza ze swoją „uzdrowiającą” mocą nadzieja. Nadzieja w to, że jesteśmy w stanie wszystko pokonać i przetrzymać, że jesteśmy gotowi na stawienie czoła często sytuacjom bez jakiegokolwiek wyjścia, bo mamy nadzieję... to poczucie na lepszą, szczęśliwszą i bardziej radosną przyszłość. W nią wszyscy wierzymy – wierzący i niewierzący. Nadzieja stoi na straży sensowności i celowości ludzkiego człowieczeństwa. Każdego.

„Nadzieja chrześcijańska mająca za cel przyszłość absolutną, określa jako tymczasowe wszystkie osiągnięcia człowieka w historii. Nie jest zadowolona z żadnego z nich, jednak kroczy ciągle naprzód, w poszukiwaniu nowego i lepszego, kierując się w stronę przyszłej realizacji obietnicy. Ta natomiast, nie tylko nie jest sprzeczna ze światowymi nadziejami człowieka i nie eliminuje ich, ale wręcz akceptuje je i kieruje w stronę Nowego i Ostatecznego; podtrzymuje je, aby się nie rozwiały i nie pogodziły się z potwornym doświadczeniem zła i nieszczęścia w świecie” (s. 26–27). Przechodząc do analizy z własnej perspektywy egzystencji powyższych zdań swoje uwagi oprę na wnioskach „wyciągniętych” z wielu przeczytanych książek, różnych zasłyszanych opowieści czy wreszcie z własnych przeżyć i doświadczeń. I tu, w tym fragmencie tekstu, jaki skreślę, będę starała się uwypuklić funkcję i znaczenie nadziei w szeroko ujętej perspektywie nie tylko osobistej, jednostkowej czy społecznej, ale także

w konwencji historycznej. Myślę, że będzie to spostrzeżenie dające „świeże i ożywcze” spojrzenie na kwestii nadziei w jej ostatnim wymiarze historycznym.

Jak już wcześniej pisałam, nadzieja chrześcijańska skupia się na tym „co w górze”, na życiu wiecznym człowieka po śmierci. Jednostkowość istnienia w wymiarze chrześcijańskiej nadziei jest zaledwie niewielką sekundą w miliardowym czasie istnienia wszechświata – zarówno tego ziemskiego i wiecznego nam nieznanego jeszcze. Istotną stroną nadziei jest przyszłość. Chociaż w zacytowanym powyżej fragmencie nadzieja jednostki jest określana jako tymczasowa w naszej czasoprzestrzeni dziejowej. Może jednak nie zgodzę się z tym stwierdzeniem. Pokłóćę się, nie wiem czy trafnie, o własną „wizję” interpretacyjną powyższego tekstu.

Cofnę się, dosłownie, w czasie i przestrzeni. Wiek XX daje mi najpełniejszą paletę analitycznych spojrzeń interpretacyjnych. A kwestia nadziei wobec wydarzeń XX-wiecznych przybiera mnóstwo innych kontekstów i skal znaczenia. Jako pasjonatka tego okresu historycznego, a zarazem osoba znacznie przecież niepełnosprawna fizycznie oraz po już rozlicznych życiowych, trudnych doświadczeniach wręcz traumatycznych, inaczej postrzegam przesłanie nadziei i jej roli, niż w wyżej zamieszczonym fragmencie zacytowanego tekstu.

Wiek XX możemy nazwać wiekiem „zła”. To w tym właśnie czasie powstają i wyradzają się w najgorsze zmary ludzkie niemalże jednocześnie dwa systemy totalitarne: komunizm i nazizm. Ma to miejsce na Starym Kontynencie, w Europie, kolebce chrześcijaństwa. Zapewne zapytać można, co ma wspólnego historia i wiek XX z opisywaną przeze mnie nadzieją indywidualną, egzystencjalną? Według powyżej zacytowanego przeze mnie fragmentu jednostkowe bycie jest określane jako tymczasowe i nic nie znaczące w koncepcji wiecznej nadziei. I tu rodzi się we mnie niezgoda na takie spojrzenie na tę kwestię. Dostrzegam to w kluczowych postaciach, które „powołały do życia” te systemy totalitarne – Adolfe Hitlerze i Józefie Stalinie, który kontynuował myśl ideologiczną Włodzimierza Lenina i bolszewików. Te osobowości, zresztą w pewien sposób charyzmatyczne i „niezwykłe”, wygenerowały świat, w którym zło zakrólowało w najbardziej ekstremalnej formie i postaci. Segregacja, dehumanizacja wszystkich wartości ludzkich i Boskich, a przede wszystkim eksterminacja całych narodów i grup etnicznych, czy Holocaust 6 milionów europejskich Żydów ukazują, jak niszczycielskie jest zło, które zrodziło się w umysłach tych postaci i ich popleczników oraz pokazuje, że owa tymczasowość dziejowa wytworzyła coś, czego ludzkość nie znała w tak ogromnej

rozpiętości. Tymczasowość zapisała się nieludzką kartą w historii wieku XX. A przecież wiemy, że na tym się na świecie nie skończyło, ludobójstwo zbierało kolejne żniwa.

W tym kontekście, w wytworzonym „świecie zła”, gdzie ludzkie człowieczeństwo wystawione zostało na całkowitą zagładę i unicestwienie, nadzieja była niejednokrotnie tym czynnikiem, który pozwalał przetrwać te piekło i wyzwolić w sobie niejednokrotnie przeogromną potrzebę przetrwania i czynienia dobra, nawet za cenę własnego istnienia. Zachowanie siebie samego przy życiu często ocierało się o cud. Niebagatelną rolę odgrywała tu nadzieja... że kiedyś przecież nastąpi koniec tego piekła, a człowiek znów poczuje się człowiekiem, nie zaś numerem bez znaczenia pozbawionym wszelkiej godności. W obozach koncentracyjnych i sowieckich łagrach ludzkie człowieczeństwo w ogóle zanikało jako liczące się i mające szanse przetrwania. W tym do szpiku kości złym świecie, w którym śmierć i beznadzieja posiadało swe królowanie, nadzieja była jedynym „lekiem”, który potrafił uleczyć śmiertelnie chorą ludzką duszę tkwiącą w beznadziei istnienia. Nadzieja na „nowe” i „lepsze” istnienie wskazywała sens, by walczyć o to, by to wszystko przetrwać, by choćby w sensie „duchowym” pozostać wolnym do samego końca człowiekiem. Było to niezwykle trudne, lecz niezbędne, by przetrwać i przeżyć... z nadzieją na lepsze, ziemskie jutro i nadzieją na wieczną Ostateczność.

Owa niewidzialna i przez człowieka żywiona czasem na przekór wszystkiemu obietnica nadziei jest czymś, co trudno jest namacalnie i trwale unaocznic, raczej nieliczni „wyczuwają” jej nadejście. W przypadku jednostki skazanej na całkowitą zagładę zarówno fizyczności jak i duchowości, odczuwanie namiastki poczucia nadziei w tym piekle obozowej rzeczywistości, w której przymusowo się znalazła, powodowało to, że podejmowała trud przetrwania nawet wbrew samemu trwaniu piekła dookoła. By pokazać oprawcom, że nie są w stanie złamać jej w sensie duchowym, że nie są w stanie złamać jej woli istnienia, że nie są w stanie złamać jej walki o siebie, że nie są w stanie zabić jej sensu istnienia... bo jest przy nim nadzieja, owo oczekiwanie na niemożliwe, na cud, na istnienie. Tylko ona, nadzieja, pozwoliła, czasem nawet wbrew wszelkiej logice, przetrwać wszystkie upokorzenia, upodlenia, tortury, cierpienia, niekiedy i dramaturgię wewnętrznych sprzecznych z samym sobą wyborów, by niejednokrotnie powstać z samego dna wszelkiej beznadziei i bezsensu obozowego istnienia. Byłoby to możliwe jedynie dzięki nadziei...

Wiem i zdaję sobie sprawę, że znacznie odbiegłam tematycznie od opisywanej kwestii osobistych doświadczeń i ich konfrontacji z problemem nadziei.

Jednak pragnę przedstawić opisywaną tu problematykę nadziei w różnych jej aspektach i kontekstach. Bo tylko szersze spojrzenie na to pozwoli bardziej dogłębnie zrozumieć jej znaczenie dla permanentnego okrycia się nią w celu immanentnej zmiany własnego duchowego świata. Świata jakże barwnego i ciekawego zarazem. Jedyne w swoim rodzaju. A to jeszcze nie jest koniec tej opowieści. Czytamy bowiem dalej:

„Paul Poupard stwierdza, że społeczeństwo technologiczne nie potrafi zaradzić w przypadku istniejącego od zawsze, podstawowego lęku człowieka, śmierci: śmierć może zostać odsunięta, odłożona na później, nie może jednak zostać zniszczona. (...). Jedyne nadzieja, a w szczególności nadzieja chrześcijańska, może nadać sens śmierci, a zatem także życiu. (...) I tu otwiera się przestrzeń dla zapowiedzi chrześcijańskiej nadziei, która nie jest zwyczajną ucieczką od obawy, ale zwiększeniem nagrody: jest czymś, co otwiera przed człowiekiem nowe horyzonty” (s. 28).

Przyszło mi istnieć w czasach technologicznego boomu. W przypadku osoby niepełnosprawnej fizycznie w stopniu tak znacznym, era komputerów, telefonów komórkowych, Internetu, wózków elektrycznych w znaczący sposób ułatwia moje funkcjonowanie w wielu aspektach egzystencjalnych; przede wszystkim pozwala na uzyskanie znacznej samodzielności w działaniu i podejmowaniu samodzielnych decyzji. Jest to diametralnie lepsza perspektywa funkcjonowania. Rozwój technologiczny, rozwój medycyny, a z tym przedłużenie ludzkiego życia daje jednostce złudne przeświadczenie o niemal jego „nieśmiertelności”. Nic bardziej mylnego. Śmierć nie została pokonana przez człowieka. Jest dla niego czymś nieznanym i strasznym, obcym doznaniem, które stoi tuż za każdym z nas. Zmaterializowany współczesny mi świat nie chce wcale „mówić” o śmierci. Ale jest ona wpisana w każdego z nas. Tak samo jak nasze narodziny.

I tu w tym miejscu także w sposób samoistny mogę przywołać wartościową dla mnie charakterystykę VIII fazy rozwoju człowieka według koncepcji cyklu życia autorstwa Erika H. Eriksona, wpisującą się w pewnym stopniu w nadzieję sensu także w obliczu ludzkiej śmierci. Dwoistość i dwubiegunowość tej fazy jest podstawowym kluczem jej rozumienia³. Na dwóch przeciwstawnych jej biegunach znajdują się jakże skrajnie między sobą odmienne, a sprzężone paradoksalnie w wysiłku równoważenia dwa odczucia towarzyszące jednostce

³ Korzystam tu z inspiracji płynących z książki L. Witkowskiego, *Versus. O dwoistości strukturalnej faz rozwoju w ekologii cyklu życia psychodynamicznego modelu Erika H. Eriksona*, Oficyna Wydawnicza Impuls, Kraków 2015.

w „drodze” ku ostateczności, ku śmierci – to poczucie rozpaczy i poczucie spełnienia. Pomędzy tymi biegunami Eriksonowskiej koncepcji VIII fazy pojawiają się też inne odczucia i pytania. Jest też strach, lęk i obawa... a po drugiej stronie błogość, spokój, opanowanie, radość i szczęście. Lecz jakże trudno jest „dojść” do duchowej równowagi wewnętrznej, by w spokoju i poczuciu błogiej nadziei oczekiwać nadejścia „dnia ostatecznego”.

To nadzieja, nadzieja ku przyszłości, ku dalszemu istnieniu w innym wymiarze czasowo – przestrzennym pozwala człowiekowi przełamać straszne uczucie strachu i lęku przed nieuchronnością fizycznej śmierci. To nadzieja w nadzwyczajny i cudowny sposób minimalizuje bądź zupełnie likwiduje przeogromne poczucie rozpaczy w sytuacji nieuchronnie zbliżającej się śmierci. Nadzieja pozwala oswoić się z tym, co ma nieuchronnie nadejść.

I paradoksalnie nadzieja jest w stanie nadać owej śmierci swój jedyny i niepowtarzalny sens. Wiem, że napisane tu słowa mogą wydać się niedorzeczne i mogą uchodzić za heretyckie. Jednak nadanie sensu śmierci, poprzez nadzieję, jest w stanie, paradoksalnie nadać sens ludzkiemu życiu. Nie spisuję w tym momencie „pięknej bajki” ku pokrzepieniu ludzkich dusz, ale te doznania mnie doświadczyły i nadal doświadcniają, ugruntowując moje bycie duchowe.

POWTÓRNE NARODZINY PO ŚMIERCI MATKI

Fizyczna śmierć najbliższej mi osoby mojej Matki, chroniącej mnie od urodzenia codziennie i nieustannie w przekleństwie mojej fizyczności, zmieniła moją sytuację radykalnie, wręcz o sto osiemdziesiąt stopni. Dla mnie na początku śmierć była czymś okrutnym, bo przecież zabrała mi osobę, na którą zawsze mogłam liczyć, dzięki której istniałam i funkcjonowałam, a przede wszystkim – którą bardzo mocno kochałam i która była miłością i źródłem, opoką mojego istnienia. Była moim sensem i nadzieją. Śmierć bliskiej mojemu sercu i duszy osoby podtrzymującej przez lata sens mojego istnienia, paradoksalnie i całkowicie zaskakująco dla mnie nadała sens dla mojego dalszego istnienia, nie tylko nadała ten sens, ale także czy może przede wszystkim podarowała mi nadzieję. Nadzieję na to, by na nowo pokochać własne istnienie, istnienie jeszcze bardziej trudne, lecz niepowtarzalne i jedyne w swoim wymiarze, by pokochać siebie i by spróbować zrozumieć ludzi i otaczający mnie świat. Było to możliwe dzięki ponownemu powrotowi wszystko zmieniającej nadziei.

Nie bez znaczenia w powyżej zaprezentowanej refleksji jest fakt, iż osobiste doświadczenia otarcia się o fizyczną śmierć pozwalają mi na weryfikację spoj-

rzenia na kwestię sensu dalszego istnienia i sensu nowej nadziei w konsekwencji tych jakże traumatycznych wydarzeń, które rozegrały się w moim dotychczasowym życiu. Znalazienie się na samym dnie egzystencjalnego jestestwa w beznadziei tego, co trzymało mnie przy istnieniu okazało się tak ogromnym emocjonalnie wstrząsem, że wygenerowało we mnie nieznane dotąd siły, bym dosłownie mogła się „podnieść” z tego totalnego dna bezsensu istnienia i beznadziei własnego bytu i bym nadała własnemu życiu sens i nadzieję. Nadzieję na życie przede wszystkim.

Wszystkie te doświadczenia i wewnętrzne przeżycia nie załamały mojego ducha walki, nie odebrały chęci do działania, do istnienia. Wręcz przeciwnie. I paradoksalnie poprzez te wewnętrzne „duchowe ubogacenie” oraz zdobycie wiedzy szeroko humanistycznej pozwoliło mi na immanentny rozwój siebie przede wszystkim. Pozwoliło mi dostrzec te maleńkie światełko miłości, wiary, a przede wszystkim nadziei ku przyszłości i ku istnieniu, a owa nadzieja pozwoliła mi poszerzyć horyzonty intelektualnego spojrzenia na siebie, ludzi i otaczający mnie świat. Bo czyż życie nie jest cudem? Teraz bezspornie wiem, że jest. I to niemal całkowicie dzięki posiadanej przeze mnie nadziei. Zdaję sobie sprawę, że wydać to się może niezwykle zawiłe i trudne, lecz osobiste doświadczenie tych przeżyć jest potwierdzeniem wyżej zacytowanego fragmentu tekstu.

Czytamy dalej, że – jak zauważa E. Fromm – „kiedy znika nadzieja kończy się życie, faktyczne lub potencjalne. Nadzieja jest nieodłącznym elementem struktury życia, dynamiki duszy ludzkiej” (s. 130). Powyższe stwierdzenie Fromma o tym, iż kiedy znika nadzieja to kończy się życie jest dla mnie stwierdzeniem niezwykle trafnym. Będąc jedynie biernym obserwatorem wydarzeń poprzedzających definitywne odejście do „lepszego świata” tak bliskiej mi osoby Matki, wręcz niezbędnej do życia na co dzień, widziałam i byłam świadkiem wielu sytuacji, w których nadzieja w to, iż zostanie się wyleczonym z śmiertelnej choroby oscylowała pomiędzy dwoma biegunami przeciwstawnych sobie wartości – dobrej i złej. Kiedy ta amplituda myśli przechylała się w stronę pozytywnego nastawienia do podjętego leczenia i terapii wzrastał poziom pozytywnej nadziei, a to skutkowało tym, iż na jakiś czas odsuwało się myślenie o tym, co nieuchronnie się zbliżało w stronę ostateczną. Nadzieja na krótki moment „uzdrowiała” sytuację, sytuację niezwykle trudną i bolesną w swych skutkach zarówno dla mnie jak i tej już śmiertelnie chorej osoby: mojej Mamy. Praktycznie prawie do samego końca nadzieja była obecna w jej myślach i duszy... a kiedy na kilka dni przed śmiercią nadzieja bezpowrotnie „odchodzi”, czekająca w progu śmierci nie

ma już przeszkody, by zawładnąć ciałem, duszą i umysłem konającego człowieka. Wówczas kiedy znika wszelka nadzieja to bezpowrotnie „odchodzi” ludzkie życie zanim wyda się ostatnie tchnienie.

„Punkt wyjścia teologii nadziei jest taki: człowiek nie jest rzeczywistością statyczną, ale niezwykle dynamiczną; nie jest tworem metafizycznym całkowicie skończonym i określonym, ale otwartym projektem, jeszcze nie ukończonym i to właśnie człowiekowi zostały powierzone: obowiązek i odpowiedzialność ukończenia go” (s. 131). Jednostka ludzka nie rodzi się z przypisaną tylko sobie wiedzą, umiejętnościami, całkowicie ukształtowana. Nie jest gotowym produktem narodzenia, nie jest robotem z wmontowanym dyskiem określonej pamięci. Nie jest bytem statycznym. Człowiek jest nieodgadnioną i fascynującą tajemnicą z wciąż „włączonym” projektorem kreacji samego siebie. W podróży zwanej istnieniem napotyka różne przeszkody i przeciwności, nie zawsze tylko dobre czy pozytywne, ale czasem wpada w zawirowania i turbulencje życia, niejednokrotnie upada na samo dno świata bez wartości, bezsensu i beznadziei. Niebagatelną i niezwykłością jest sztuka wyjścia z tego totalnego dna, w jakim utkwiała zagubiona jednostka ludzka. Wyjść może jedynie dzięki drzemiącej w niej iskierce poczucia nadziei. Nadziei czasem jednostkę zaskakującej w swych planach ułożonych gdzieś poza nią samą, poza tym, co wydawało jej się nierealne i niedorzeczne, nie do urzeczywistnienia i zrealizowania. Jedynie dzięki drzemiącej w człowieku nadziei jesteśmy w stanie przekraczać samych siebie w poczuciu namiastki szczęścia i spełnienia. Ludzkie istnienie jest swego rodzaju projektem, projektem bezużytecznym w przypadku braku sensu i nadziei istnienia.

„Jeśli chce się pracować nad życiem nadzieja musi przetrwać, nawet jeśli zaufanie zostało nadwątlone, a wiara osłabiona” (s. 134). Jakże ten fragment mnie wewnętrznie porusza. I jednocześnie skłania do osobistego i jakże niezwykle intymnego zmierzenia się w niemalże filozoficznym spojrzeniu nad własną myślą, która się we mnie rodzi. A zarazem nad własnym czysto ludzkim zdziwieniem nad specyfiką napisanych powyżej stwierdzeń. To mnie najbardziej fascynuje. Zacznę swoją interpretację od pierwszej części cytatu. Chociaż to, co teraz napiszę, nie było moim bezpośrednim doznaniem, to z analizy relacji mogę zaryzykować i wyprowadzić refleksyjne spostrzeżenie. Praca nad moim życiem rozpoczęła się dla Mamy kilka dni po moim narodzeniu. Dopiero teraz pisząc te słowa dociera do mnie to przesłanie pierwszej części zacytowanego tekstu. Moje życie przez niemalże dwa miesiące balansowało na niewidzialnej przez nikogo granicy między istnieniem a nieistnie-

niem, pomiędzy życiem a śmiercią. Niegasnąca nadzieja mojej Mamy w to, iż przeżyję, niezależnie w jakim stanie, tak przypuszczam była tą najsilniejszą i najważniejszą „siłą motywującą” mnie podświadomie do walki o siebie i o pozostanie tutaj na ziemi. Jaka musiała zawiązać się ogromna więź pomiędzy mną, a osobą, która sprawiła, że narodziłam się na tym świecie. To właśnie przeogromne poczucie nadziei mojej Mamy tchnęło i natchnęło mnie życiem, które bezspornie pragnęła zabrać mi śmierć. Jestem „żywym” dowodem słuszności zacytowanego fragmentu tekstu. Przypuszczam, iż Mamy zaufanie do świata i do ludzi było wówczas wątpliwe, ponieważ ludzkie działania w stosunku do Jej dziecka, które toczyło nierówną walkę o życie, były nacechowane tajemnością i tajemniczością działania. Jedynie niegasnąca nadzieja Mamy w moje przeżycie i istnienie w ludzkim wymiarze bytu powodowało i generowało „obraz przyszłości” bytu pozbawionego wszelkiej nadziei na przyszłość.

Po raz drugi, tym razem już osobiście, przekonuje się co do słuszności zacytowanego powyżej stwierdzenia. Kiedy znalazłam się na samym dnie egzystencjalnej rozpacz i wewnętrznej „śmierci duchowej”, a wszystkie dotychczas wyznawane i uznawane wartości straciły na swej autentyczności i sensowności, gdzie również nie widać było „realnej nadziei” na uwolnienie się z psychicznego terroru, nadzieja na moment we mnie „umarła”. Ale kiedy, i o dziwo wbrew mnie samej, nastąpił mój powrót do ziemskiej rzeczywistości istnienia, to nieodzowne okazało się w „pracy nad sensem życia i życiem” że maleńki promyk drzemiącej we mnie nadziei przywrócił mnie do istnienia, pomimo że zaufanie do ludzi i świata zupełnie odeszło, a wiara w Boga zmieniła swoje dawne nastawienie. To dzięki poczuciu nadziei po raz „drugi” się narodziłam. I rozpoczęłam i chyba już wygrałam kolejną moją „bitwę o życie i bycie”. Otarcie się o śmierć, czy bycie na granicy pomiędzy życiem a śmiercią, w moim przypadku wpłynęło na mój transcendentny i wewnętrzny rozwój. Umocniło mnie duchowo i w pewien sposób „oswoiło” z myślą o mojej faktycznej śmierci, na nowo uzbroiło do życia. Okazało się, że Mama dała mi siłę także do ponownych narodzin, jako największy dar płynący z Jej poświęcenia dla mnie.

„Nadzieja jest synonimem „stymulacji” zarówno wewnętrznej jak i zewnętrznej, zarówno indywidualnej jak i społecznej, jest całością bodźców, które wpływają na skład psychofizyczny osoby lub które dochodząc z zewnątrz wpływają na samą osobę. Pozostaje to w oczywistym związku z „dwubiegowym” charakterem osobowości, w tym znaczeniu, że znajduje się w niej biegun osobisty, skierowany głównie do wewnątrz człowieka, i biegun społeczny, zwrócony na zewnątrz” (s. 138).

W tym fragmencie tekstu uwypuklony został wpływ nadziei na rozwój społeczny jednostki, nie tylko psychologiczny. Tu także oprę swoje wywody na własnym przykładzie, bo jest on niezwykle inny, w znaczącym stopniu odbiegający od procesu „wejścia” w społeczeństwo jednostki z ogólnej populacji ludzkiej ludzi zdrowych, bez ograniczeń funkcjonalnych ciała. Jak wiemy, kontakty interpersonalne z innymi ludźmi odgrywają ogromne znaczenie w ogólnym rozwoju jednostki ludzkiej, ale też powodują narodzenie się w niej poczucia nadziei. Pierwsze oznaki tego procesu możemy zauważyć tuż po narodzeniu, kiedy wytwarza się przeogromna więź między nowonarodzonym dzieckiem a matką, co w konsekwencji rodzi w dziecku poczucie nadziei w stosunku do ludzi i otaczającego go świata. W moim przypadku zbudowanie poczucia nadziei było procesem dłuższym, niż normalnie się przyjmuje. I bardziej złożonym. Zupełnie zdegradowana fizyczność, z którą przyszło mi istnieć, praktycznie odebrała mi możliwość samodzielnego dotarcia i przebywania z innymi dziećmi, potem ludźmi. Budowanie poczucia nadziei w stosunku do innych i świata przebiegało najpełniej na linii dziecko – Matka. Poprzez bycie stale przy Mamie i przebywanie z nią wszędzie tam, gdzie była w przestrzeni społecznej, mogłam „doświadczać obecności” innych ludzi, rówieśników i dorosłych, którzy pośrednio budowali we mnie poczucie nadziei.

Pragnę jedynie nadmienić, bo dziś nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę, że w latach 70. i 80. XX wieku osoby tak znacznie niepełnosprawne nie były praktycznie widoczne w społecznym krajobrazie publicznym, a o możliwości i walorach integracji nikt nawet nie wiedział. Dzięki tak bardzo wyprzedzającej czas „integracyjnej postawie” mojej Mamy w Jej walce o mnie, chodziłam do normalnej szkoły podstawowej wraz z pełnosprawnymi rówieśnikami, co było zjawiskiem niezwykle nowatorskim i wręcz „rewolucyjnym” jak na tamte czasy. Niosło ryzyko, ale dało mi szansę. Zdobywanie edukacji było nacechowane wieczną walką mojej Mamy o to, bym mogła w niej w ogóle uczestniczyć, nawet na przekór konsultacjom i radom psychologów. Ale poprzez to uczestnictwo przebiegał u mnie proces nabywania nadziei od innych, a to w konsekwencji doprowadziło do podjęcia niewyobrażalnego procesu usamodzielnienia się we wszystkich obszarach egzystencjalnych po odejściu w „inny wymiar bytu” po trzydziestym roku życia, bliskiej memu sercu osoby.

Tak, mogę napisać, iż nadzieja odgrywa znaczącą rolę, nie tylko w rozwoju wewnętrznym jednostki ludzkiej na płaszczyźnie psychologiczno-emocjonalnej, ale też w wymiarze zewnętrznym, w kontaktach interpersonalnych z innymi ludźmi. W sferze społecznego funkcjonowania człowieka. Posiadanie

poczucia nadziei w wymiarze społecznym powoduje otwartość, spontaniczność działania, większą kreatywność siebie oraz pewność tego, co chcemy i pragniemy osiągnąć i zdziałać. Powoduje także większą samodzielność co w moim przypadku jest najbardziej istotnym elementem mojej niezależności egzystencjalnej. Poczucie nadziei przejmowane od innych pozwala na to, by podejmować niezmiernie śmiało i znacznie większe wyzwania stawiane nam przez przeznaczenie na drodze wiodącej ku przyszłości i ku transcendentnej nadziei. Otwiera mnie wewnątrz i zewnątrz na wszystko, co się zdarza w moim istnieniu. To nadzieja toruje drogę ku szczęściu i wolności. Szeroko pojętej.

SAMOREALIZACJA POPRZEZ AUTOTRASCENDENCJĘ

Według Garaudy'ego – zauważa Zavalloni – „ta wiara w zmartwychwstanie czyni z człowieka poetę, w najściślejszym tego słowa znaczeniu, to znaczy twórcę niemożliwości, to znaczy tej niemożliwości, która jest niemożliwa tylko dla tego, kto nie ma siły, aby żywić nadzieję” (s. 142).

Wymiar transcendencji jest dla mnie niezwykle istotny i ważny. Śmiem napisać, że najważniejszy. Postaram się przybliżyć mój punkt widzenia, który będzie bardzo osobisty i intymny, być może i niezrozumiały, lecz niezwykle istotny do zinterpretowania zacytowanego fragmentu tekstu. Wiara, czym jest ona dla mnie? Jest swoistą „kotwicą” zanurzoną w tym, co jest mi nieznane i tajemnicze, a co powoduje, że wierząc mam nadzieję, mam bardziej sprecyzowany plan w „ziemskim działaniu” ukierunkowanym na to, co po ludzku jest niedostrzegalne, nieznane i tajemnicze. Wiara daje to „coś”, co nazwać nie jestem w stanie, czy może nie ma jeszcze utworzonego wyrazu znaczeniowego. Wiara i własny transcendentny rozwój umocniły we mnie umierające poczucie nadziei, a nawet doprowadziły do tego, że w nią na nowo uwierzyłam. Więc wszystko jest możliwe...

Wiara w zmartwychwstanie... jest największą nadzieją każdej jednostki ludzkiej, w tym również i mnie. Ci, którym brak jest nadziei nie mogą być twórcami niemożliwości do urzeczywistnienia. Z racjonalnego punktu widzenia zmartwychwstanie jest niemożliwe,... Racjonalnie. Podczas mojego już dość długiego rozwoju transcendentnego doświadczyłam czegoś, co trudno mi jest słownie nazwać i opisać. Chociaż posługuję się słowem pisanyemu nieustannie, ponieważ duchowo jestem poetką. To niezwykle doświadczenie transcendencji spowodowało zmianę wewnętrzną niespotykane szeroką

i głęboką, a wartość drzemiącej we mnie nadziei potroiła się. Tak, potroiła... ziemskie istnienie wydaje być się płytkie i powierzchowne, pozbawione intensywności i głębi doznawania i odczuwania. W porównaniu z tym, co dane mi było „poznać”. Te „poznanie” uspokoiło mnie wewnątrz i duchowo. Napełniło bardziej transcendentną nadzieją, nadzieją niezwykle intensywną, spokojną czy wręcz błogą. Ta nadzieja bardzo mi pomogła w odnalezieniu sensu mojego istnienia. Teraz, po prawie czterdziestu latach wiem, że moje istnienie ma sens, ma głębię, ma też w ostatecznym rozrachunku nadzieję. Głęboką i niezwykle piękną nadzieję.

Trzeba wielkiej odwagi, by tak „głęboko” siebie odkryć, by pokazać najbardziej ukryte myśli... by pokazać sens i nadzieję jako największą wartość ludzkiej transcendencji. Trzeba odwagi... wielkiej. Wiara jest absolutną nadzieją. Absolutnie absolutną.

„O żadnej sytuacji życiowej nie można powiedzieć, że jest całkowicie pozbawiona znaczenia, a zatem nadziei. Oznacza to, że te elementy, które z pozoru wydają się negatywne – jak to się dzieje w przypadku tragicznej trójki istnienia ludzkiego: cierpienia, winy, śmierci – są w rzeczywistości otwarciem na nadzieję, a zatem mogą stać się pomocne w odniesieniu sukcesu, mogą okazać się prawdziwą pomocą (...)” (s. 151). Przechodząc do osobistego podsumowania dotychczas spisanych refleksji nad sobą, w konfrontacji z powyższym fragmentem tekstu mogę stwierdzić, że w stu procentach potwierdza to mój przypadek. Moje narodzenie na ten ziemski świat było niezwykle burzliwe i trudne, nie miało w sobie żadnego sensu i niemalże od samego początku pozbawione zostało wszelkiej nadziei na życie i na przyszłość. Dotknęły mnie wszystkie niemal negatywne elementy istnienia ludzkiego; śmierć, cierpienie, poczucie winy, beznadziei i bezsensu istnienia, traumatyczne doświadczenia psychicznego terroru, niepełnosprawność fizyczna znacznego stopnia oraz całkowity upadek na samo egzystencjalne dno wszystkiego z własnym istnieniem łącznie. Wiele, jak w przypadku jednej osoby.

Jednak paradoksalnie pisząc, wszystkie te niezwykle negatywne elementy mojej egzystencji okazały się być przepięknym otwarciem na to wszystko, co zostało mi odebrane niemal całkowicie czy stało się to „początkiem” pozytywnych elementów egzystencjalnych. Nastąpił znaczny rozwój w sferze fizycznej, psychicznej i intelektualnej. Z bezsensu istnienia i wszelkiej beznadziei zradza się we mnie poczucie sensu istnienia i najwyższa z możliwych nadziei – nadzieja transcendentna. Wszystko to w końcowym rozrachunku doprowadza do egzystencjonalnego sukcesu i pokazuje, że z niemożliwego wszystko może

stać się możliwe, że z bezsensu jest w stanie narodzić się w jednostce sens, a z wszelkiej beznadziei istnienia potrafi powstać najwyższa ze wszystkich nadziei.

„Bez Jezusa Chrystusa nasze życie jest zagadką, a nawet absurdem” (s. 155). I po raz kolejny pochylam się nad znaczeniem i rolą czynnika własnej wiary w kontekście posiadania w sobie poczucia sensu i nadziei. Przytoczę tu w tym momencie kilka cytatów zaczerpniętych z Ewangelicznego przekazu. By na samym końcu odnieść się we własnej refleksji do powyższego fragmentu cytatu. „Ja jestem Drogą, Prawdą i Życiem”. W tym bardzo krótkim zdaniu zawarte zostało całe *credo* chrześcijańskiej wiary i nadziei. Podążając Drogą radości, szczęścia, miłości w stosunku tak do samego siebie jak i drugiego człowieka dotrzemy do Prawdy o sobie i drugim człowieku oraz pokochamy dane nam Życie, jedyne i niepowtarzalne w swoim obrazie. Wtedy także będziemy mieć tak bardzo potrzebne, by działać i istnieć, niesłabnące nigdy poczucie nadziei, nawet w najbardziej dramatycznych, trudnych i beznadziejnych sytuacjach, w jakich może znaleźć się jednostka ludzka w swej podróży zwaną życiem. „Ja jestem Zmartwychwstaniem, kto we mnie wierzy, choćby umarł, żył będzie na wieki”. W tym zdaniu wypowiedzianym przez Jezusa Chrystusa tkwi najbardziej „optymistyczna” wizja ludzkiej przyszłości po odejściu w inny wymiar czasowo – przestrzenny. Wizja nieznaną człowiekowi epoki starożytności: Chrystus samym sobą daje ludzkości największą nadzieję. Tą nadzieją jest wieczne istnienie, duchowa jedność z Bogiem, Absolutem, który jest wiecznością, nieskończonością, miłością i nadzieją. Zatem bez Jezusa Chrystusa nie byłoby sensu i nadziei. Ludzkie istnienie byłoby absurdem. Ale Bóg zesłał Syna Bożego, aby ten zaświadczył o nadziei... o wiecznej nadziei.

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA

Napisałam ten tekst dla wszystkich ludzi: wierzących i niewierzących, społecznie wykluczonych i egzystujących na marginesie społecznym, bogatych materialnie, ale ubogich „duchowo”, do wszystkich. Pokazałam swoją drogę nie po to, aby była łatwa czy gotowa do naśladowania, ale by każdy zrozumiał, że swoją drogę może dla siebie odkryć także. Nadzieję można „odnaleźć” nawet w najbardziej beznadziejnej sytuacji, w jakiej znajdzie się człowiek. Sama jestem tego potwierdzeniem, powtórzę na zakończenie raz jeszcze.

Co w moim tak trudnym egzystencjalnie przypadku spowodowało, iż powróciła we mnie i do mnie żywa i życiodajna siła, jaką jest i którą daje na-

dzieja? Myślę, że takim najważniejszym czynnikiem było to, iż po trzydziestu latach mojego istnienia mogłam w końcu być sobą. Danie jednostce możliwości bycia sobą, prawdziwie i autentycznie, wyzwala w niej poczucie sprawstwa i podmiotowość rozumiejącą, iż to co w danym momencie czy chwili zrobi czy uczyni dla siebie nie będzie podlegać żadnej krytyce i ocenie. Bycie sobą prawdziwie i autentycznie wyzwala w jednostce poczucie wolności a także z drugiej strony odpowiedzialności przede wszystkim za siebie i wobec siebie. Bycie sobą także w wysiłku walki o to prawo na przekór słabościom jest niezwykle konstruktywne dla jednostki ludzkiej. Prowadzi do potężnej zmiany, zmiany w stronę rozumienia siebie i w końcu do nadziei, bo będąc sobą jestem „tu i teraz” dla siebie i dla innych.

Jednostka ludzka będąc *homo sapiens*, czyli człowiekiem rozumnym poprzez podejmowanie samodzielnych i suwerennych decyzji względem siebie jest w stanie te decyzje podejmować pozytywnie w stosunku do swojej osoby. A bycie sobą, nieskrepowanym żadnym przymusem czy emocjonalnym zniewoleniem, zawsze prowadzi jednostkę ku działaniu, ku celowi, ku samorealizacji, ku rozwojowi, ku przyszłości, by w końcowym rozrachunku dotrzeć ku wszystko zmieniającej człowieka nadziei.

Kolejnym czynnikiem, który odgrywa niebagatelną rolę w „odbudowie” czy „budowie” poczucia nadziei jest bycie realne przy osobie w stanie „duchowej śmierci” bez posiadania poczucia nadziei: Pod żadnym pozorem nie wolno takiej osoby pozostawić samej z jej egzystencjalno-duchowymi rozterkami, a tym bardziej z jej rezygnacją z siebie. Pozostawienie takiej osoby samej grozi egzystencjalnym dramatem... bycie i trwanie przy boku takiej osoby nie jest łatwe ze względu na niezwykle emocjonalny charakter takiej relacji, w której trzeba wytrwać rozmaite momenty kryzysu. Jednak niejednokrotnie takie właśnie bycie jest w stanie uratować człowieka przed śmiercią i pozwala, niekiedy bardzo powoli, na „nadejście” poczucia nadziei w jednostce nie posiadającej jej wcale.

Należy przede wszystkim zmienić własne myślenie o sobie. Wiem, że z tym bywa najtrudniej. Ale kiedy się tego dokona jednostka ludzka dosłownie i w przenośni „uwalnia” się z presji własnych słabości i kompleksów, zauważa niezauważane wcześniej egzystencjalne wartości także w sobie. Dochodzi do ubogacenia jej wewnętrznego świata i w końcowym etapie do odzyskania – pomimo wcześniejszych zawodów aż po rozpacz – sensu istnienia i poczucia nadziei.

Czynnikiem kluczowym w procesie odzyskiwania przez jednostkę poczucia nadziei jest odczuwanie poczucia miłości w stosunku do drugiego człowieka.

Miłość szeroko pojmowana jest w stanie dosłownie wyrwać jednostkę ze szponów egzystencjalnej pustki, bezsensu istnienia i beznadziei. Ze szponów nawet „duchowej śmierci”. I tchnąć w człowieka tak potrzebne przeciwieństwo nadziei. Więc bądźmy zawsze, niezależnie od okoliczności sobą, bądźmy realnie zawsze przy kimś i obdarzajmy siebie i innych wszystkim zmieniającą miłością, a nadzieja pozostanie na zawsze w człowieku. Każdym z nas.

Choć napisałam ten tekst dla wszystkich to chyba przede wszystkim odkryłam w sobie motywację by go napisać dla siebie. Bo tylko taki tekst może chyba pomóc innemu, jako świadectwo własnej walki i zachęta do podjęcia jej przez innych, rozmaicie doświadczonych przez los. Symbolika zmartwychwstania wydaje mi się ciągle niedostatecznie przez nas rozumiana jako przede wszystkim głęboka prawda o Człowieku, nasza szansa duchowa i zadanie egzystencjalne.

LITERATURA

Dul A., *Nadzieja*, „Moje Miasto” 2009, nr 12.

Witkowski L., *Versus. O dwoistości strukturalnej faz rozwoju w ekologii cyklu życia psychodynamicznego modelu Erika H. Eriksona*, Oficyna Wydawnicza Impuls, Kraków 2015.

Zavalloni R., *Psychologia nadziei. Aby poczuć się zrealizowanym*, tłumaczenie Marzena Radomska, Wydawnictwo „Jedność”, Kielce 1999.

STRESZCZENIE

Tytułowa „walka o narodziny i wytrwałość nadziei” jest relacjonowana przez autorkę (od urodzenia niepełnosprawną fizycznie) poprzez „świadectwo osobiste w refleksji wokół lektury” książki Roberta Zavalloniego pod znamienym tytułem „Psychologia nadziei. Aby poczuć się zrealizowanym” wydanej przez Wydawnictwo „Jedność”, Kielce 1999, w przekładzie Marzeny Radomskiej. Metoda narracji polega na próbie rozmowy poprzez książkę – w tym wybrane z niej cytaty – ze sobą samą i własnym bolesnym doświadczeniem, którego główne oparcie stanowiła Matka wspierająca przez lata rozwój córki. Autorka wskazuje dramat konieczności zdobycia się o własnych siłach na powtórne narodziny po śmierci Matki i na radzenie sobie z życiem. Interpretując swoje doświadczenie wskazuje, że kluczową drogę wyzwolenia się z beznadziei stanowi dla niej wysiłek samorealizacji przez autotranscendencję. Wielkie możliwości wsparcia człowieka zmagającego się z powracającą beznadzieją Autorka sytuuje w perspektywie chrześcijańskiej.

Słowa kluczowe: nadzieja, psychologia nadziei, beznadzieja, walka o nadzieję, wytrwałość, powtórne narodziny, samorealizacja, autotranscendencja perspektywa chrześcijańska.

**ON THE STRUGGLE FOR A NEW BIRTH OF CONSISTENT HOPE
(PERSONAL TESTIMONY WITH REFLECTIONS FROM READINGS)**

SUMMARY

The struggle for hope to be born and kept consistent and alive is inserted into a narration by an author (the student physically handicapped from her birth) through a personal testimony of reflection using book by Robert Zavalloni with a significant title „The Psychology of Hope. In order to feel on self selfactualized” (the Polish translation by Marzena Radomska, Editorial House Jedność, Kielce 1999). The method of narration consists of undertaking an effort to discuss selected quotations with oneself nad one’s painful experience, which for many years was linked with a basic support by mother of her handicapped daughter. The author indicates a dramatic necessity to emerge with her own strength for a new birth after the death of her mother and to meet the challenge of living alone. While interpreting her experience she indicates as the key way for liberation from despair and hopelessness the effort of self-actualization through auto-transcendence. It is a Christian perspective where the author is situating great potential of supporting human being in her struggle against the returns of despair.

Key words: hope, psychology of hope, despair, struggle for hope, consistency of hope, a new birth, self-actualization, auto-transcendence, the Christian perspective.